

# PLAYBOY

EDYCJA  
POLSKA

Nr 11 (84)  
LISTOPAD 1999  
8,95 zł

## RENATA GABRYJELSKA

najlepsze ciało w Polsce

## SAMUEL L. JACKSON

wywiad

## THOMAS HARRIS

powrót Hannibala

## CITY wiedź

## WHITNEY HOUSTON

prezentuje modę

i odpowiada na 20 pytań





**JACEK PAŁKIEWICZ**

To nie wyspy Tonga ani Fidzi jako pierwsze będą świętować nadejście nowego tysiąclecia. Zdarzy się to na małej, zapomnianej przez Boga i ludzi, wysepce w Cieśninie Beringa.

# PIERWSZY PR

Na tej rubieży porzuconej przez Boga i moskiewski rząd przybysze nie są mile widziani. Potrzebne jest specjalne pozwolenie na pobyt, ale uzyskanie go graniczy z cudem.

**S**ytuacja staje się coraz bardziej napięta. Pułkownik wojsk granicznych Aleksander Bieriezin zdecydowany jest odesłać nas z powrotem do Moskwy tym samym samolotem, którym dopiero co przylecieliśmy do Anadyru. Na solidnym kacu, rozżalony na cały świat za służbę, którą przyszło mu pełnić w najbardziej odległym zakątku Rosji, nie skrywa swojej głębokiej urazy do przybyszów.

Oskarża nas o sfałszowanie zezwolenia na pobyt na Czukotce. Na blankiecie firmowym Federalnej Służby Pogranicznej Rosji, wystawionym przez jej szefa gen. Konstantyna Tockoja, brakuje pieczęci.

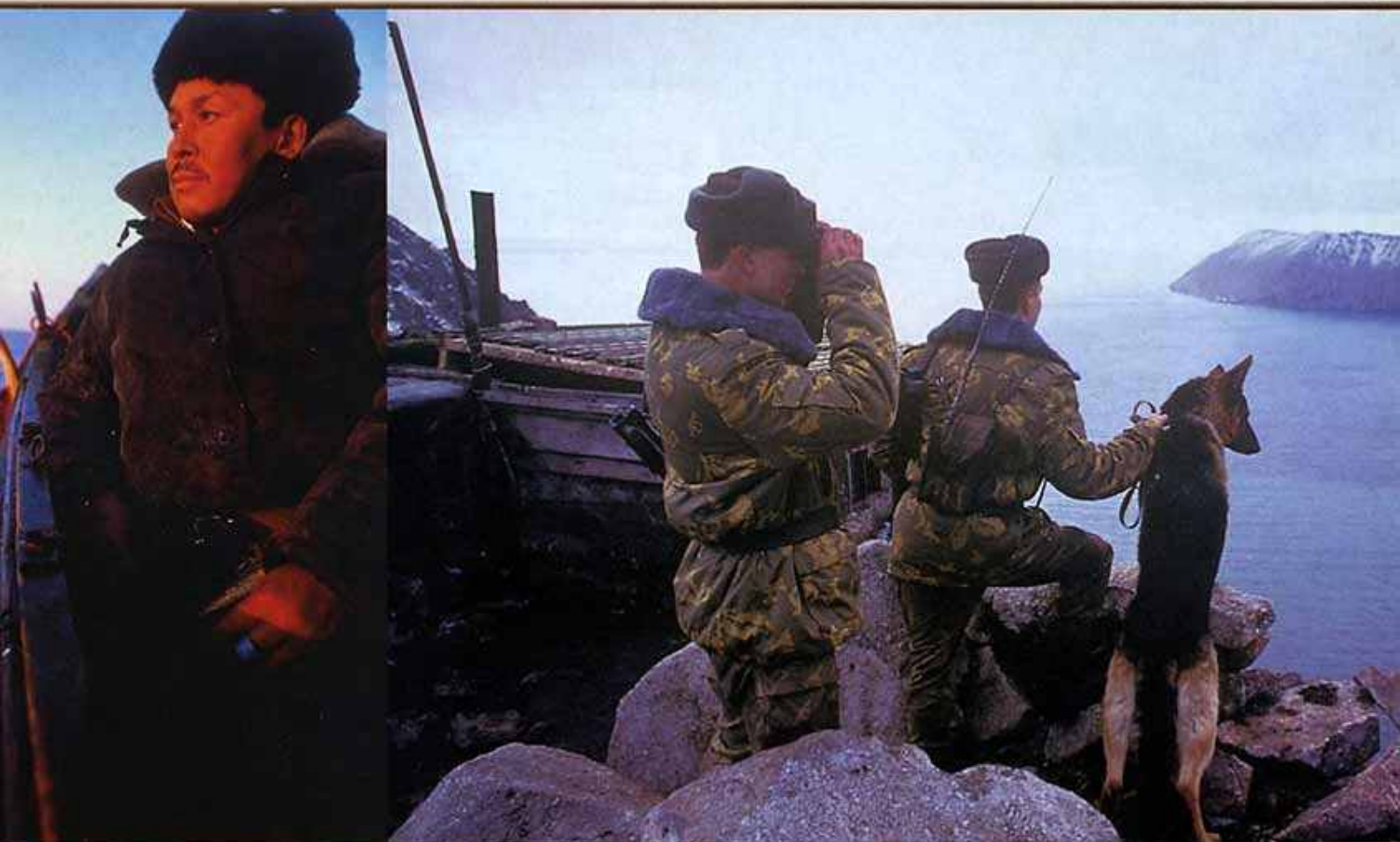
„To pismo możecie wykorzystać w toalecie” – komentuje bez pardonowo.

Potrzeba dwóch dni, aby wyjaśnić, że pieczętka nie była niezbędna. W międzyczasie powstał nowy problem. Według rozporządzenia gubernatora Aleksandra Nazarowa, zwanego tutaj „Bogiem-carem”, każdy cudzoziemiec przed przyjazdem musi uzyskać zgodę władz lokalnych, które w ten sposób chcą zapewnić sobie odpowiednią kontrolę nad poczynaniami przybyszów. Funkcjonariusz, który przed dwoma tygodniami potwierdził gotowość przyjęcia naszej ekipy, już nie pracuje i nigdzie nie ma śladu tej promesy. Wygląda na to, że podzielimy

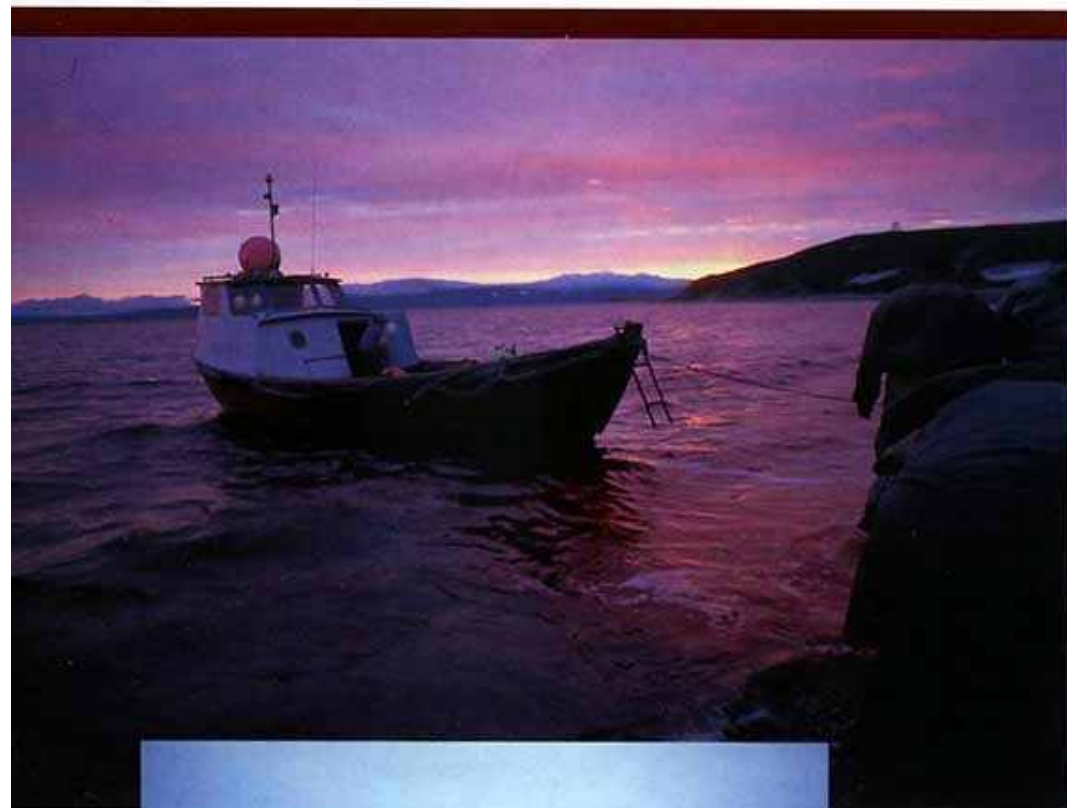


Na terytorium ponad dwa razy większym od Polski, pokrytym głównie tundrą, żyje, a raczej walczy o życie, osiemdziesiąt tysięcy ludzi, w tym tysiąc Eskimosów i trzysta tysięcy Czukczów, którzy tak jak przed wiekami polują na wieloryby, morsy i foki.

# OMIENŃ SŁOŃCA



Do 1947 roku mieszkali tu Eskimosi, którzy zostali przesiedleni na Półwysep Czukocki i zastąpieni małym oddziałem straży granicznej, zainstalowanym na północnym brzegu wyspy.



**Wyspa Diomeda leży dokładnie pośrodku Cieśniny Beringa. Dla odciętej od świata garstki rosyjskich żołnierzy przyjazd polskich podróżników był dużym wydarzeniem.**

los większości zagranicznych dziennikarzy, którzy chcieli odwiedzić rubież porzuconą przez Boga i moskiewski rząd. Prawie wszyscy byli deportowani, a powodem mógł być brak jakiegos dokumentu czy też nawet przecinka.

W ostatnich latach sowieckiego systemu odwiedziłem Kamczatkę, Sachalin, Kuryle, Wyspy Komandorskie, a także Czukotkę i nigdy nie napotkałem tak dużych trudności.

Piątego dnia, dzięki interwencji wpływowego parlamentarzysty, odzyskujemy wolność i po wpłaceniu prawie dwóch tysięcy dolarów opłaty za pobyt na terenie nieznanego nam parku przyrody „Beringia” możemy wreszcie wyruszyć w dalszą podróż. Niestety, pojawia się kolejna przeszkoda, tym razem klimatyczna. Pomimo pełni lata niebo pokryło się gęstą warstwą niskich obłoków i lot zostaje odwołany. Nasz miejscowy przyjaciel Wiktor Bursztejn ostrzega, że w tych stronach można przesiedzieć tydzień albo i dwa czekając na dobrą pogodę.

Na terytorium ponad dwa razy większym od Polski, pokrytym głównie tun-

drą, żyje, a raczej walczy o życie, osiemdziesiąt tysięcy ludzi, w tym tysiąc Eskimosów i trzynaście tysięcy Czukczów, którzy tak jak przed wiekami polują na wieloryby, morsy i foki. Przybyliśmy tutaj, aby odwiedzić wyspę Wielką Diomidę, zwaną przez Rosjan Wyspą Ratmanowa. Leży ona dokładnie pośrodku Cieśniny Beringa, w odległości 40 kilometrów od Rosji i Alaski, tuż przy Linii Zmiany Daty. Właśnie tutaj rozpocznie się trzecie millennium – 11 godzin wcześniej niż w Polsce.

Wprawdzie 1 stycznia 2000 roku jest tylko początkiem ostatniego roku XX wieku, ale okrągłe liczby tak silnie działają na naszą wyobraźnię, że jesteśmy skłonni wiązać tę datę z magiczną formułą otwierającą nową erę. Cały świat szykuje się w piątek 31 grudnia 1999 roku na party wszech czasów, aby świętować Nowy Rok, Nowy Wiek, Nowe Tysiąclecie. Biura podróży i liczne słoneczne atole koralowe leżące na Pacyfiku mają wpisać do Księgi rekordów Guinnessa wszystkich tych, którzy pragną jako pierwsi wznieść lampkę szampana w noworocznym toaście.

To oczywiste, że kto chce jako pierwszy ujrzeć świt nowego tysiąclecia, musi znaleźć się w pobliżu międzynarodowej Linii Zmiany Daty, oczywiście po jej zachodniej stronie. Wyspy Tonga, Fidzi, Kiribati i Chatham zapewniają, że to właśnie u nich rozpocznie się trzecie millennium. Już dawno wyprzedano tam wszystkie miejsca hotelowe.

Najwięcej wrzawy wywołała Republika Kiribati, która sprytnie, z komercyjną przebiegłością, już w 1993 roku na własną rękę przesunęła granice nowego dnia o całe 30° na wschód, tj. o 1 600 kilometrów. Dzięki temu mieszkańcy najbardziej wysuniętej na wschód wysypki Caroline Island witają należący do Kiribati wschód słońca dużo wcześniej niż inni. „Fikcyjna machinacja – twierdzą zgodnie przedstawiciele prestiżowego Geographical Society i Królewskiego Obserwatorium Astronomicznego w Greenwich – odbiegająca od generalnie przyjętych zasad Konwencji Waszyngtońskiej z 1884 roku, która nie licząc kilku odchyień wytyczyła Linie Zmiany Daty wzdłuż 180 południka”.

Rywalizację w tej swoistej „wojnie handlowej” wygrała nieznaną wyspka Wielka Diomeda, leżąca na 169 południku nieopodal Koła Polarnego, na której Nowy Rok będzie można świętować 19 minut wcześniej niż na głośno reklamowanej wyspie Tonga.

Po nie kończących się biurokratycznych przeszkodach wynajętym śmigłowcem docieramy wreszcie do Providenija, skąd udajemy się do Ławrentija, centrum polowań na wieloryby, zamieszkanego przez 1300 Czukczów.

Następnego dnia lecimy nad dzikim pustkowiem aż do przylądka Dieżniewa, najdalej na wschód wysuniętego skrawka Azji. Bierzymy kurs na 120°. W ciągu kwadransa osiągamy majestatyczną Wielką Diomedę, której stromy skalisty brzeg wyrasta na wysokość 400 metrów. Wyspa jest całkowicie pusta i jałowa. Miejscami, tam gdzie występuje warstwa gleby, wśród skalnego rumowiska, pojawiają się porosty i mchy. Żadnych śladów zwierząt, tylko stada nurzyków gnieźdzących się na klifach. Do 1947 roku mieszkali tu Eskimosi, którzy zostali przesiedleni na Półwysp Czukocki i zastąpieni małym oddziałem straży granicznej, zainstalowanym na północnym brzegu wyspy.

Nasz przyjazd jest dużym wydarzeniem dla garstki żołnierzy całkowicie odciętych od świata. Dawniej kontakt z lądem był ożywiony, obecnie śmigłowiec z zaopatrzeniem przylatuje tu kilka razy w roku. Kraj jest pogrążony w totalnym kryzysie i cierpi na tym także armia.

Gienadij, pochodzący z Moskwy, teoretycznie zakończył swoją służbę dwa

miesiące temu, ale wciąż jest tutaj. Helikopter, który miał dostarczyć zmiennika, został początkowo zablokowany przez brzydką pogodę, a później brakiem paliwa.

„Jak się żywimy? – powtarza moje pytanie. – Ziemniakami w proszku, kaszą, rybą suszoną i konserwami. Od czasu do czasu dają słoninę. Owoce i warzywa? Pan chyba żartuje. Latem nasza dieta wzbogaca się o różne trawy z tundry albo jajka ptaków zebrane ze znajdujących się na skałach gniazd”. Nic więc dziwnego, że u większości młodych żołnierzy występują silne objawy awitaminozy, wrzody, oznaki szkorbutu, zaburzenia wzroku, infekcje.

Także barak, w którym mieszkają, jest w opłakanym stanie. Pomieszczenie jest zimne, brak ciepłej wody do mycia, latryna znajduje się na zewnątrz. Można sobie wyobrazić jak jest tutaj zimą, kiedy słońce przez kilka miesięcy nie wznosi się ponad horyzont i przy siarczystym mrozie hulają osłepiające śnieżne sztormy.

Koszary robią przygnębiające wrażenie. Okna bez szyb, wałające się zardzewiałe beczki po paliwie, porozrzucane

żelastwo, jakiś spalony barak. Paweł Gosk, operator z TVN, komentuje: „Wygląda tak jakby przed chwilą zakończyła się tutaj wojna”.

Oficjalnym zadaniem żołnierzy jest ochrona granicy, ale nikt tutaj nie wierzy w jej naruszenie. Mimo to codziennie patrol obchodzi wyspę długą na 8 i szeroką na 4,5 kilometra. Cztery miesiące temu jeden z żołnierzy zablądził we mgłę i spadł do morza. Jego ciało znaleziono dwa dni później nieopodal siedliska morsów. Nie brak tu dramatycznych incydentów. W 1996 roku w katastrofie śmigłowca zginęło pięć osób. Jesienią ubiegłego roku kapral w bestialski sposób zmasakrował czterech nowych żołnierzy, którzy nie chcieli podporządkować się jego reżimowi.

Niebezpiecznie jest też chorować. Kilka lat temu wezwano lekarza do chorego na wyrostek robaczkowy. Kiedy pilot odmówił lotu z powodu mgły, dowódca straży zwrócił się o pomoc do amerykańskiej Gwardii Brzegowej, która przetransportowała nieszczęśnika do swojego szpitala. Fakt ten nie ujrzałby światła dziennego, gdyby nie przysłany rachunek, opiewający na 5 tysięcy dolarów.

Na Wielkiej Diomidzie nie ma żadnych rozrywek. Nikt nawet nie marzy o przepustce do domu. Czas wolny spędza się najczęściej przed telewizorem, który odbiera zaledwie jeden program, a i to nie najlepiej. Wprawdzie chętni mogą korzystać z zaimprovizowanej siłowni, ale trening taki wymaga dużo większej ilości kalorii niż ta, która jest dostarcza-

na. Pozostaje nudzić się albo spać, co zresztą robią prawie wszyscy.

Tylko czterokilometrowy odcinek morza oddziela Wielką Diomidę od Malej, należącej do Stanów Zjednoczonych. Ze wschodniego brzegu widać jak na dłoni Ingaluk, osadę Eskimosów, jej załdane domki, szkołę i kościół katolicki. Często też można zobaczyć hydroplany, łodzie motorowe i helikoptery, które zabezpieczają normalne życie kilkudziesięciu mieszkańców. Podczas gdy Rosjanie będą pierwszymi ludźmi na świecie, którzy zobaczą świt nowego millennium, Amerykanie z siostrzanej wyspy wzniosą toast szampanem 24 godziny później.

W 1926 roku archeolog Diamond Jenness znalazł na sąsiedniej wyspie ślady dawnej eskimoskiej kultury *okvik* z III wieku p.n.e. Kilka tysięcy lat temu przebiegał tędy szlak migracji ludów z Azji do Ameryki, a jeszcze na początku naszego wieku rosyjscy Eskimosi zatrzymywali się tu płynąc na bajdarach, łodziach ze skóry morsa, w odwiedziny do swoich amerykańskich kuzynów.

Nieoczekiwanie jeden z żołnierzy o młodzieńczej twarzy pyta o cel naszej wizyty. Próbuje mu wytłumaczyć, że chcemy zobaczyć miejsce, gdzie najwcześniej rodzi się nowy dzień. Patrzy na mnie z niedowierzaniem. W tej chwili marzy zapewne o kromce świeżego chleba, jakimś owocem, a przede wszystkim o jak najszybszym porzuceniu tego skrawka ziemi leżącego na granicy świata.



Jeszcze na początku wieku rosyjscy Eskimosi odwiedzali swoich amerykańskich kuzynów płynąc do nich na łodziach ze skóry morsa

